



Mirosław Derecki (M.D.)

EKRAN I WIDZ: SZUKAJĄC FILMU

Przeciętny londyńczyk do kina chodzi rzadko. Wielkie kolorowe afisze, reklamujące „najbardziej atrakcyjne filmy świata”, dawno przestały już na nim robić wrażenie. Nie pociąga go ani golizna, ani krew płynąca obficie, ani strzały na ekranie, ani szalone gonitwy samochodów. Wszystko to i tak będzie musiał prędzej czy później obejrzeć w domu, na każdym z czterech kanałów telewizora. Tyle, że nie w kolorze i na mniejszym ekranie. Będzie musiał obejrzeć, bo filmy o wysokiej randze artystycznej idą w telewizji niezmiernie rzadko, natomiast dzieła twórców westernów, thrillerów, kryminałów i melodramatów zajmują poczesne miejsce w programie.

Poza tym nasz londyńczyk jest zmęczony. Pracę skończył o szóstej po południu, na siódmą dojechał do domu. Zanim się umył i zjadł dinner, jest ósma. Żeby „pójść” do kina, trzeba by wyciągnąć z garażu samochód i jechać długo ulicami własnej dzielnicy do miejscowego „Odeonu” czy „ABC”. A tam w dodatku idą filmy dawno już „wygrane” w eleganckim West Endzie. Można oczywiście jechać do centrum, ale na to trzeba poświęcić co najmniej pół godziny na podróż metrem, o tymczasem wieczorne seanse zaczynają się około ósmej. Poza tym najtańsze miejsce kosztuje tam pół funta, co w połączeniu z ceną biletu za metro składa się na sumę wcale niebagatelną, wystarczającą na całodzienne wyżywienie. Wreszcie, w owych eleganckich, grających nowości kinach zobaczy się tę samą, co w starym „telewizyjnym” filmie historyjkę, tyle że podaną w bardziej nowoczesnej formie. Krąg się zamyka.

Miłośnik dobrego kina może sobie na nie pozwolić właściwie tylko podczas dwóch dni week-endu (jeżeli nie postanowił wyrwać się gdzieś na prowincję, zaczerpnąć świeżego powietrza, wyzwolić się z przytłaczającej atmosfery metropolii). Ale i wówczas obejrzenie dobrego filmu nastęcza sporo kłopotów. W Londynie istnieje wprawdzie kilkaset kin, ale wynalezienie wśród prezentowanych przez nie programów czegoś naprawdę wartościowego zajmuje długie kwadransy uważnego studiowania „What’s On”, ponad stustronicowego informatora, zawierającego wiadomości o wszystkich tygodniowych „events” (wydarzeniach) stolicy Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii. Dział dotyczący filmu obejmuje ponad dwadzieścia stron formatu A-4, wypełnionych drobnym drukiem. I tutaj także, jak wszędzie,

wybijają się na czoło filmy wątpliwej wartości, pokrywające ubóstwo treści kolorem, szerokim ekranem, najnowocześniejszymi sztuczkami techniki filmowej.

Chciałbym też zwrócić uwagę na tzw. „uncensored films” czyli filmy niecenzurowane, wyświetlane w specjalnych „klubach filmowych”, takich, jak „Compton cineclub”, „Cineclub putney” czy też „Tatler Cinema club”, specjalizujących się w filmach pornograficznych lub na tyle zatrącających o pornografię, że nawet bardzo pobłażliwa w sprawach seksu brytyjska cenzura filmowa założyła względem nich zdecydowane veto. Ramię cenzury nie sięga jednak poza drzwi specjalnych, „zamkniętych” klubów, grupujących ludzi, którzy zajmują się jakimś specjalnym, wybranym „zagadnieniem”. Nie sięga więc też siłą rzeczy i poza drzwi „klubów filmowych”, penetrujących tajniki uciech seksualnych. Zgodnie z prawem, żadna osoba, nie będąca członkiem klubu, nie ma do niego wstępu. Jednakże nic nie stoi na przeszkodzie, aby w kasie wraz z biletem otrzymać (za odpowiednio wysoką dopłatą) - kartę członkowską. Potem już bez przeszkód można studiować „sztukę filmową”, co zresztą czynią głównie turyści lub starsi panowie o połowicznych już ambicjach. Stały, zdrowy mieszkaniec Londynu do takich kin nie uczęszcza.

Małymi literkami wydrukowano w „What’s On” nazwy kin takich, jak np. „Academy One”, „Academy Two”, „Academy Three”, mieszczących się przy wielkiej, ruchliwej Oxford Street. Tutaj można obejrzeć przeglądy szekspirowskich filmów Laurence Oliviera, archiwalne komedie z Buster Keatonem, obrazy tej miary co „Cisza i krzyk”. W poszukiwaniu prawdziwej sztuki filmowej londyńczyk szturmuje kasy czterosalkowego kina „Cinecenta” przy Ponton Street, a bardzo już obeznany w topografii i specyfice stolicy, wyrusza do niewielkiego, zadymionego „Imperial Cinema” przy Portobello Road, gdzie wtłoczony pomiędzy młodzież artystyczną, hippiesów i miejscową ubogą ludność „kolorową” może, w specjalne „dni klubowe”, obejrzeć na przykład całokształt dorobku Pudowkina i Eisensteina. W inne dni „Imperial” wyświetla „przechodzone” kryminały, thrillery i melodramaty z gatunku science-fiction.

Oczywiście jest w Londynie o wiele więcej kin, które starają się zalew szmiry zrównoważyć ambitnym repertuarem. W powodzi ogromnych reklam, kolorowych neonów, całego krzykliwego sztafażu, jakim posługują się wielkie, zasobne kina, obliczone na gust turystów lub najmniej wybrednej publiczności, w zalewie panoszącej się na ekranach amerykańskiej tandety - jakże jednak trudno przeciętnemu kulturalnemu londyńczykowi trafić do owych ambitnych kin, uczestniczyć w naprawdę dobrym seansie filmowym.